

Doskonałość

Niektórzy twierdzą, że doskonałe, chociaż niepowtarzalne, są tylko płatki śniegu. Czy zatem doskonałość możemy znaleźć li tylko w przyrodzie? Matematycy sądzą, że tak właśnie jest. Potwierdzają to nie tylko unikalność i perfekcja śnieżynek, odzwierciedleniem tego przekonania okazuje się też budowa każdego kwiatka, każdej roślinnej łodygi. Świat flory stosuje z dużym sukcesem prawo złotego podziału, liczb pierwszych oraz ciągu Fibonacciego. Udało się w tym uniwersum, dzięki jego różnorodności, stworzyć rzeczy piękne i perfekcyjne.

Znacznie trudniej znaleźć doskonałość w świecie fauny. Nie jest to jednak niemożliwe. Gdy przyjrzymy się niektórym, dość licznym jej produktom, znajdziemy wiele przykładów na jej istnienie. Budowa anatomiczna pająka na pewno wydaje się dla tego zwierzęcia optymalna, gdyż pozwala mu na, wprawdzie pracowitą, ale wygodną egzystencję. Czy jednak jest ładna?

Natomiast budowa nici pajęczej okazuje się już prawie bliska doskonałości. Pomimo rozwoju nauki człowiek nie jest w stanie skonstruować czegoś równie skutecznego i wytrzymałego. Ta pułapka na muchy, dodatkowo pokryta pochodną penicyliny, nie dopuszcza do psucia się już zdobytych łupów. Nie wiadomo, gdzie pająk nauczył się medycyny, matematyki i architektury, ale na pewno wie, jak stosować się do ich reguł.

Nie wpadajmy jednak w depresję, produkt doskonałości naszych technologii istnieje. Jest bardzo stary i pozostaje nie do końca rozpracowany przez naukowców. Mam na myśli najrzadszą i najdroższą tkaninę, jaką człowiek kiedykolwiek wyprodukował, mianowicie – bisior. Przędza, z której się ją wytwarza, otrzymywana jest z wydzielin morskich małż. Po odpowiedniej, bliżej nierozpoznanej obróbce powstaje przezroczysta, delikatniejsza od jedwabiu i bardziej wytrzymała niż azbest tkanina. Z wyglądu przypomina nylon. Jest odporna na farbowanie, ścieranie, działanie ognia i upływ czasu.

Dawniej bogate elegantki przykrywały bisiorowymi welonami włosy. Kobiety te możemy zobaczyć sportretowane przez mistrzów epok starożytności, średniowiecza, renesansu. Jeśli jednak chcemy ujrzeć na własne oczy tkaninę z bisioru, to powinnyśmy pojechać do Manopello i kontemplować chustę św. Weroniki. Związana z nią historia jest równie niesamowita jak sama tkanina. Gdy światło pada na nią pod odpowiednim kątem, ukazuje się wizerunek zmasakrowanego człowieka, łudząco podobny do tego, który w tajemniczy sposób odbił się na Inianym płótnie Całunu Turyńskiego. Podobieństwo potwierdzają symulacje komputerowe. Nie wiadomo, w jaki sposób się tam znalazł. Żeby go zobaczyć, potrzebne są dobre oświetlenie i odpowiedni kąt patrzenia. Gdy w XIX wieku wybuch wulkanu na kilka lat przykrył Ziemię gęstą chmurą zanieczyszczeń ograniczającą ilość światła słonecznego, wizerunek przestał być widoczny.

Oczekiwano końca świata, ale nie nastąpił. Gdy wróciło słońce – obraz znowu nadawał się do oglądania.

Oto paradoks: na obrazach powstałych kilka wieków temu, w okresie, który obecnie żyjącym kojarzy się z zacofaniem, widać rzecz, której jeszcze długo nie będziemy w stanie wyprodukować. Dzisiaj żyje tylko kilka wtajemniczonych osób – wcale nie naukowców – które są w stanie wytwarzać bisior. Garstka starych kobiet z niewielkiej wyspy położonej niedaleko Sardynii – Sant Antiocio zna ten sekret, ale przekazać go może tylko jednej kobiecie należącej do tej samej rodziny. A w tym wypadku: co uznamy za doskonałość? Samą tkaninę czy powstały na niej obraz? Czy jest doskonały, bo jawi się jako niepowtarzalny? Czy dostrzegamy jego perfekcję dlatego, że nie wiemy tak naprawdę, jak powstał, i nie potrafimy go produkować masowo? A może dlatego, że nie podlega prawom mody?

Dzieła masowej produkcji organizowanej przez *homo sapiens* zazwyczaj są modne, czyli popularne i pożądane przez innych przedstawicieli danej społeczności. Czy to pożądanie jest wynikiem doskonałości, czy ma jakieś inne podłoże? Wieloryby, w końcu też ssaki, żyją samotnie w bezkresnych wodach. Śpiewają pieśni miłosne, by zwiabić samicę. W zależności od sezonu istnieją bardziej lub mniej modne melodie. Czy uznamy za doskonałą, bo prowadzącą do rozrodu, listę przebojów waleni? Odys mógłby powiedzieć coś na ten temat. Nie rozmnażał się, co prawda, w ten sposób, ale nieomal uległ uwodzicielskim dźwiękom. W swojej męskiej ułomności biedak ujrzał w ogromnej rybie pociągającą syrenę.

Logiczne zatem wydaje się pytanie: czy człowiek w poszukiwaniu dźwięków doskonałych jest gotów na każde poświęcenie? Istnieją dowody, że tak. Kiedy matematycznie i muzycznie rozpracował samo tworzenie idealnej muzyki zgodnie z kanonem i modą, zabrał się za kreację idealnego głosu. I tak w epoce baroku masowo poprawiał naturę, kastrując młodych chłopców. Chirurgiczna interwencja pozwalała na słuchanie głosów nieprawdopodobnie wysokich i silnych, brzmiących niczym boskie pienia aniołów. Hormonalne zmiany, jakie zachodziły przy okazji w organizmach kastratów, również uznano za piękne i doskonałe. W tej epoce sądzono, że dzięki kastracji otrzymano istotę doskonałą – chyba nie mężczyznę i na pewno nie kobietę. Po trzebieniu kości długie byłego mężczyzny rosły ponad miarę, co miało dobre strony – widać go było na scenie. Dominował nie tylko głosem, lecz także posturą. Zaburzone proporcje w budowie ciała odpowiadają dzisiejszym normom, według których wybiera się modelki na wybieg – bardzo długie kończyny, wąskie biodra, androgyniczna budowa i uroda. Jednym i drugim ograniczano do minimum rację jedzenia, bo mieli skłonności do tycia psujące perfekcję wyglądu.

Androgenizm kastrata pociągał zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Gdy jego kibić ściągnięto gorsetem, z górnych nadmiarów ciała formowano biust. Biodra przypominały kobiece. Suknie, makijaż i peruki sprawiały, że mógł uwodzić mężczyzn. Kobiety mdlały z rozkoszy na dźwięk jego śpiewu, a *plaisirs d'amour* były romantyczne i bezpieczne – nie groziły niechcianą ciążą.

W Chinach kastrację wykorzystywano również po to, by otrzymać męczyznę doskonałego, ale w tym wypadku chodziło o uzyskanie perfekcyjnego urzędnika. W zakazanym mieście mogli pracować dla cesarza tylko wytrzebieńcy. Miało to powstrzymać siłę dominacji, wolę walki, a co za tym idzie, konkurowanie – żaden władca tego nie lubi. Tylko czy rzeczywiście stworzono doskonałość? Może samo to, że zaprzestano praktykowania tego proceduru, jest świadectwem braku efektywności?

Kolejne pytania: czy piękne znaczy doskonałe? I co można uznać za piękne? Oczywiście o gustach nie należy dyskutować – nie ładne, co ładne, tylko to, co się komu podoba. No to co nam się podoba? Młodość nam się podoba. W zasadzie XX wiek to wiek kultu młodości. W poprzednich epokach młodość kojarzyła się bardziej z niedoświadczeniem i głupotą. Sytuacja zmieniła się wraz z wydłużeniem wieku życia. Żyjemy dłużej, żyjemy lepiej. Jesteśmy w stanie leczyć coraz więcej chorób, więc przybywa nam osób wiekowych, doświadczonych, ale czy mądrych? Dawniej, gdy średnia długość życia była dużo krótsza, a) mieliśmy mniej czasu, by popełniać głupstwa, b) najstarsze osobniki podlegały szybszej eliminacji. Brzmi to okrutnie, ale czy nie jest słuszne? Badania nad postrzeganiem potwierdzają taką teorię. Chętniej przebywamy wśród urodziwych istot, częściej kupujemy od osób, które uważamy za piękne, podświadomie skazując brzydkie na banicję i wykluczenie. Żyjąc prędko, nie mamy czasu, by analizować cokolwiek, liczy się pierwsze wrażenie. Nie zapominajmy też o nowoczesności i nowości kojarzonymi ze świeżością. Kto by zastanawiał się nad proporcjami, harmonią? To skomplikowane problemy, zostawmy je naukowcom i specjalistom. My chcemy być piękni i modni, a to oznacza, że cenimy młodość. Dawniej młodość – prócz wcześniej wymienionych cech – kojarzona była ze świeżością. A dzisiaj? Czy nasze miasta zamieszkują nieświeży młodzi? Starsza osoba po operacji plastycznej na pewno wygląda młodo, ale czy nadal prezentuje się świeżo? Czy wstrzyknięcie w ciało trucizny: jadu kiełbasianego lub silikonu, dodaje nam świeżości?

Nasze dążenie do ideału w wyglądzie znalazło odbicie na naszych talerzach. Dietetycy mówią, że jest się tym, co się je. Rozwinęła się w nas skłonność do jądania produktów poprawianych chemią. Można je produkować szybko i masowo. Nie psują się łatwo, mają lepszy smak i wygląd. Pakujemy tę żywność w trwałe plastikowe pojemniki i torby. Są bardzo praktyczne, bo niezniszczalne. Nie ulegają rozkładowi, nawet gdy skończy się ich użyteczność. Takie skuteczne produkty, podobno jadalne, nie ulegają trawieniu.

Udało się nam stworzyć dzieła niezniszczalne, ale czy doskonałe? Czy na pewno pozostaną dobrem pożądanym na przykład za 100 lat? A co się stanie, gdy zmieni się moda? Czy nasze przepiękne silikonem i innymi truciznami ciała zostaną relikwiami w następnych wiekach? Jedno jest pewne, ułatwiamy pracę przyszłym archeologom i historykom.

Niestety popsuję wam troszkę humor. Ta droga do „boskości” nie jest wcale dziewicza. W Japonii niektórzy buddyjscy mnisi porządku shinto od wieków stosują podobne sztuczki, by osiągnąć cel egzystencji, czyli całkowite oświecenie. To droga do wiecznej, czyli boskiej doskonałości. Istnieje do dzisiaj około tuzina mumii powstałych na skutek

wieloletniej medytacji oraz specjalnej diety. Przez długi czas mnisi stosują głodówkę zamiennie z przyjmowaniem balsamujących ziół i korzeni, by już za życia ulec mumifikacji. Nawet szaty tak przesiąkają balsamicznymi trucznymi, że nie ulegają rozkładowi. Wolny wybór. O gustach mieliśmy nie dyskutować, ale widać subtelną różnicę w intencjach ludzi współczesnych dążących do doskonałości i buddyjskich mnichów.

Droga mistyków do doskonałości jest dziwna. Skoro poruszyliśmy ten problem, aż się prosi, by wspomnieć o kimś tajemniczym, o człowieku, który nie jest powszechnie znany, może dlatego, że miał ciekawych, przyćmiewających go przyjaciół. Mówię o Gurdżijewie. Urodził się na Kaukazie, w młodości przyjaźnił się z Dżugaszwilim zwanym później Stalinem. Razem chodzili do szkoły. Obydwu wyrzucono z klasztoru za działalność wywrotową. Do końca nie wiadomo, czy ich rebelia dotyczyła działalności rewolucyjnej, czy też mistycznych nauk aszyka¹ niezgodnych z wiarą katolicką. Nie jest tajemnicą, co działo się ze Stalinem. Gurdżijew zaś, jako zdolniejszy, wyjechał do Tybetu i zaczął zgłębiać i doskonalić nauki tamtejszych mnichów. Wiadomo, że był też w górach Pamiru, wędrował pomiędzy Xinjiang a Tadżykistanem. W latach trzydziestych poprzedniego wieku zamieszkał w Paryżu i tam nauczał. Oprócz oficjalnych adeptów nauczał też osoby indywidualnie, ale ich nazwisk nigdy nie ujawnił. Są dowody, że w czasie II wojny światowej gubernator Paryża nazwał go mistrzem. Gurdżijew towarzyszył mu w nocy przed wykonaniem wyroku śmierci za zdradę. Niemiec odmówił spalenia i wysadzenia miasta przed zajęciem go przez wojska alianckie.

Gurdżijew zmarł pod koniec lat czterdziestych w wyniku ran, jakich doznał w zamachu. Ze Stalinem utrzymywał kontakty do końca II wojny światowej. Dziś nazwalibyśmy go *spin doctorem*, potrafił ustawiać psychikę ludzi w dowolny sposób; zaprogramować na sukces, zapewnić supremację nad innymi.

Jednym z uczniów Gurdżijewa był podobno ktoś, kto zostawił bardzo krwawe stygmaty na historii XX wieku. W osobistych kontaktach sprawiał wrażenie wycofanego, ale bardzo miłego człowieka. Podobnie jak Stalin nauki pobierał w przyklasztornej szkole benedyktynów. Nie jadał mięsa, lubił dzieci, nie nadużywał alkoholu. Leczył się homeopatycznie, czasem zażywał amfetaminę (potrzebował dużo energii, jakiegokolwiek energii). Napisał książkę, troszkę anarchizował, interesował się sztuką, sam nawet malował. Promował młodych naukowców, architektów i inżynierów, dbał o rozwój nauki. Czy był doskonały? Dla niektórych pewnie tak, ale gdyby nie wygrał castingu na wodza sporego kraju w centrum Europy, prawdopodobnie skończyłby życie jako pacjent szpitala psychiatrycznego.

Nie wiem, jak określić związek, który go promował, ale nazywał się on Thula i łączył w specyficzny sposób świat wielkiej finansjery i odradzającej się wiary w starożytnych aryjskich bogów. W iście spartański sposób oczyszczał społeczeństwo z kalek jednostek, stosując metody, jakich nie powstydziliby się sam Torquemada. Uwaga: za kalekie uważał wszystko, co nie nosiło znamion aryjskości, przez co nie mogło odzwierciedlać doskonałości północnych bogów.

¹ Aszyk – nauczyciel, odpowiednik sufiego we wschodnich naukach mistycyzmu.

Czczył w szczególności Odyna. To do jego pałacu Walhalli Walkirie miały odprowadzać duchy poległych w walce aryjskich wojowników, by odpoczęli przed ponownymi narodzinami. Kazał wybudować w Paderborn zamek Wewelsbourg, siedzibę Zakonu Kawalerów Teutońskich, by tam mieć doczesny odpowiednik Walhalli. Warte zwiedzania, proszę mi wierzyć.

Wszystkie ważniejsze budowle wznosił tam, gdzie krzyżowały się siły uznane przez *Rutenganger*, Kolegium Radiestetów, za korzystne. Z nich mógł czerpać moc. Na przykład przed zjazdem w Norymberdze osuszono jezioro, przeniesiono linie kolejowe i drogi, by wybudować główną trybunę w miejscu gwarantującym stałe zasilanie z geomancyjnych mocy ziemi. W końcu miał tam przemawiać, przekonać cały naród do swoich poczynań i teorii. To był początek jego działalności.

Niektórzy wierzą, że w celu zdobycia przychylności bogów składał im ofiary, a że bogowie najbardziej lubili ofiary z ludzi, czynił to, poświęcając swoich wrogów. Udoskonalił system całopalenia ofiar, by szybciej docierały do celu. Holo-Kaustos znaczy całkowicie spalony. W wielu religiach tylko taka ofiara jest ofiarą doskonałą, zadowalającą bogów, zapewniającą ich przychylność. W wierze Semitów oznaczała jednak oczyszczenie z grzechów już dokonanych.

Człowiek, o którym mówię, uznał za wrogów najpierw Żydów. Głównie na nich udoskonalił sposoby hiszpańskiej inkwizycji, a że nie miał uprzedzeń, później rozszerzył krąg swojej nienawiści na inne nacje. Zmarł od ognia, chociaż zgodnie z przepowiednią zadał sobie wcześniej śmierć metalem. Najpierw była kula, później trucizna, a w końcu pochłonął go ogień. Podobno tylko tak mógł skutecznie stracić życie, z licznych zamachów wychodził bez większych obrażeń. To misterium odbyło się w płonącym Berlinie, w nocy z 30 kwietnia na 1 maja. W noc poświęconą Walkiriom, a w kalendarzu celtyckim nazywaną Nocą Zmarłych. To wtedy rozpala się możliwie wielkie ogniska, by uczcić Bala – semickiego boga odrodzenia. Mistycy i asceci przeważnie obierają niezrozumiałą i dziwną drogę do perfekcji.

Czyż nie łatwiej niż w kulturze człowieka znaleźć doskonałość w przyrodzie – w powtarzającym się cyklicznie procesie umierania i odradzania się drzew i roślin. W organizacji drabiny pokarmowej – a gdy spojrzeć przez okular mikroskopu – w budowie komórki. Tu wszystko wydaje się bardzo proste, każda jej ściana zbudowana jest tak samo: białko, lipidy, lipidy, białko. Zawiera te same elementy, na przykład mitochondria dostarczające energię oraz jądro kryjące DNA – najdoskonalszy, bo najprostszy kod, kod genetyczny.



Piotr Wrzosek, *Fotografia*